

Bliższa ciału sukienka

Harvey Fierstein wielokrotnie podejmował temat *crossdressingu*, czyli „przebieranek”. Rozgłoszono go dzięki roli geja wcielającego się w szansonistkę, bohatera teatralnej trylogii własnego autorstwa. Opracował dramaturgię musicali „Klatka dla ptaków” i „Kinky Boots”, i zagrał w ekranizacji jednego z nich. „Casa Valentina” różni się od tych wcześniejszych utworów. Idąc z duchem czasu, wyraźniej oddziela transwestytyzm od homoseksualności.

Fierstein osadza akcję sztuki w pensjonacie, który istniał naprawdę w górskiej miejscowości w Appalalach i służył heteroseksualnym transwestytom na weekendowy wypady. Miejsce stało się znane dzięki zdjęciom zakupionym na pchlim targu przez nowojorskiego antykwariusza i wydanym w formie albumu zatytułowanego „Casa Susanna”. Podobnie jak w tytule „Casa Valentina”, nazwa pensjonatu pochodziła od żeńskiego imienia przybranego przez właściciela. Jeszcze wcześniej pensjonat nosił imię Kawalera d’Eon, legendarnego francuskiego szlachcica, który część życia spędził jako kobieta.

Przedstawioną przez Fiersteina sytuację transwestytów można sprowadzić do trzech dylematów. Po pierwsze, jest uderzająco podobna do znacznie szerzej znanej historii ruchu homoseksualnego. Są to bowiem ludzie w różnym wieku, pochodzący z różnych klas społecznych i środowisk, których łączą nie tylko wspólne upodobania, ale i poczucie, że należą do prześladowanej mniejszości. Dotyka ich społeczny ostracyzm, a pod lupę bierze aparat władzy. Nieustannie przekraczają granicę wyznaczoną przez prawo i obiegową moralność (*crossdressing* był wykroczeniem), narażając się na szykany i szantaż, ryzykując karierę i dobre imię, interes własnej rodziny, a nawet osobistą wolność. Podobnie jak ludzie homoseksualni, transwestyci stają przed dylematem, czy powinni stworzyć swoją organizację. Wymagałoby to ujawnienia się, ponieważ nazwiska członków musiałyby zostać urzędowo zarejestrowane, a twarze aktywistów powinny stać się rozpoznawalne. Tymczasem jest wiele powodów, by pozostać w ukryciu. Czy warto podjąć osobiste ryzyko w imię równouprawnienia całej grupy? I czy można wymagać tego ryzyka od innych? To pytania o polityczny i etyczny wymiar *coming outu*.

Po drugie, ujawnienie się wymaga oczyszczenia własnych szeregów z elementów niepożądanych, a tymi okazują się osoby homoseksualne. „Prawdziwi” transwestyci powinni być heteroseksualni, choć przecież rzeczywistość jest bardziej złożona. Opisując dylemat budowania grupowej tożsamości przez wykluczanie „innych” Fierstein znów czyni aluzję do ruchu lesbijek i gejów, który usunął w cień transwestytów i osoby transpłciowe w imię normalizacji własnego wizerunku. *Ex post factum* wiemy, że prawa mniejszości homoseksualnej zostały uznane (choć oczywiście nie wszędzie), podczas gdy współczesny ruch osób transpłciowych dopiero się rozwija. Ruch transwestytów, założony przez Virginie Prince (pierwowzór Isadore’a/Charlotty), który od 1960 roku przez dwie dekady wydawał własne czasopismo „Transvestia” i funkcjonuje do dziś, pozostaje mało znany. „Casa Valentina” ilustruje więc psotę historii, ale i ryzyko związane ze strategią opartą na afirmacji wąsko rozumianej tożsamości, ponieważ taka tożsamość może z łatwością zostać zmarginalizowana. Opowieść o zdradzie szerszej wspólnoty w interesie własnej, wąsko rozumianej grupy to przestroga wypowiedziana niejako wbrew homoseksualnej *success story*. Czy lepiej więc połączyć siły, czy skupić się na własnej sprawie? To pytanie o strategiczny sens wzajemnej solidarności tych, którzy znaleźli się w takiej lub innej mniejszości.

Po trzecie wreszcie, „Casa Valentina” pośrednio wskazuje na dalsze możliwości tożsamościowe, których emblematem jest sam Kawaler d’Eon. Z noty odautorskiej dowiemy się, że historyczne pierwowzory niektórych postaci – George’a/Valentyny i Isadore’a/Charlotty – z czasem porzuciły swe męskie imiona, by żyć już tylko jako kobiety. Weekendowy dom kryje więc kolejną niespodziankę: oprócz nieujawnionych gejów są tu osoby transpłciowe, wciąż nieświadome, że zechcą w przyszłości dokonać tranzykcji. W latach 60. świadomość występowania transpłciowości i związanych z nią możliwości medycznych i prawnych była niewielka. Czy więc jasne zadeklarowanie swojej tożsamości, nawet w szczytnym celu, jakim jest walka o równouprawnienie, to droga do wolności, czy jednak samoograniczenie? To pytanie o zależność między afirmowaną tożsamością a tym, co z czasem okazuje się możliwe.